



Eliza Orzeszkowa
(1841 — 1910)

Nad Niemnem (1888)

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie jaśniało, kwitło, pachniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały znad pól porośniętych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna piaszczystą ścianą wystający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba ogromnym półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieś tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej jak purpurową wstęgą tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu. Na świetnym tym tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu dworków małych. Był to wraz z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne swe profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzywały drogi białe i trochę zieleniejące od z rzadka porastającej je trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny i smółek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, stały się w trawach fioletowe rohule, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurze ślepoty, liliowe skabiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich łodygach, rumianością i zawadiacką

postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków. Za tymi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdziegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Wśród tej wesołej przyrody ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy ubrane w czerwone i żółte chusty tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonii i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łąkach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt u piersi w chustach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośnie, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach rosnących na wzgórzach i w wielkim borze, który ciemnym pasem odcinał pozłoconą, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim odbywającym się na urodzajnej równinie czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień boży powrót z kościoła.

[...]



Szlakiem wzdłuż ogrodu przez koła wyżłobionym i białą dzięcielinią usianym wyszli na nieszeroką drogę, która okolicę z polem rozdzielała. Długi dzień letni zbliżał się do swego końca, w cichej i świetnej glorii pogody. Na całej przestrzeni niebieskiego sklepienia ani jednej chmurki, ani nawet jednego obłoczka nie było. Szafirowe w środku, bladło ono u skłonów, na zachodzie świecąc ogromną tarczą słoneczną, samotnie ku ciemnemu borowi płynącą. Długo rozciągnięta i wraz z brzegiem rzeki w półkole nieco zginająca się okolica stała cała w złotawej mgle utworzonej z lekkiej kurzawy, na wskroś promieniami słońca przepojonej. Z dala można by mniemać, że był to tylko gęsty pas roślinności, ale co kilkanaście lub co kilkadziesiąt kroków ukazywały się wśród tej zielonej powodzi coraz inne ludzkie siedliska. Były to szare, niskie i słomą pokryte domy, w pobliżu domów stojące świrny z wystającymi i na kilku słupkach opartymi dachami, stodoły, stajnie, obory, podwórka i sady. Niewysokie albo i całkiem niskie płoty z desek, kołków lub wzdłuż umieszczanych żerdzi nierozwikłaną dla oka płataniną rozdzielały pomiędzy sobą te zagrody, które nie stały w szeregu prosto wytkniętym, ale wypadkiem jakby rozsypane cofały się w głąb lub wysuwały naprzód, czasem znacznymi przestrzeniami osamotnione, a czasem

jedne z drugich do połowy zaledwie wysunięte i wzajem na siebie następować się zdające; czasem zepchnięte aż na skraj wysokiej, ku rzece staczającej się góry, czasem krańcami ogrodów i tyłami stodół dosięgające przypolnej drogi. O wielkiej dawności tych siedlisk opowiadała wielka starość otaczających je drzew. Jedne z domów tonęły prawie w rozłożystych i srebro przelewających topolach, zza innych ciemne lipy wznosiły wysoko poważne swe wierzchołki; tu płaczące brzozy kładły na ściany i okna swe wiotkie gałęzie, ówdzie popielate wierzby wykrzywiały we wsze strony mnóstwo swych węzłowatych i powyszczerbianych pni albo przysadzisto po ogrodach rozsadały się odwieczne grusze, albo najrzadsze i najwynioślejsze wyrastały na dziedzińcach słupiaste jawory. Niżej, młodsze od owych prastarych towarzyszy i stróży wsi, wiśniowe i śliwowe gaje nęciły wzrok głębokim cieniem swych bujnie rozrosłych wierzchołków i połączaną przez ruchome promienie słońca trawą swych podścielisk. Niżej jeszcze, tuż przy płotach albo pod ścianami świrnow i stodół, pełno było niskich leszczyn, zdziczałych malin i gęsto splełanych wiklin, wonnej piłowiei, krzaczastego żywokostu i brudnożółtych blekotów, zmieszanych ze śnieżnymi powojami lulku i kolczastymi kwiatami ostów. Tej dzięki zarodził się spod płotów i ścian wyplenić nikt tu znać nie miał czasu albo chęci, ale w zamian ogrody płynęły istotnym chaosem zmieszanych z sobą uprawnych roślin. Wszędzie tu nad zielenią niskich warzyw delikatnym lasem powiewały cienkie kminy i lebiody, maki różowo i biało kwitły, gęstą ścianą stały wysokie konopie, na wysmukłe tyki fasola rzucała zielone girlandy. U końca ogrodów, tuż przy domach, na większych lub mniejszych grzędach mieniły się mnóstwem jaskrawych i łagodniejszych barw zmieszane, zwikłane, wzajem gęszące się i jedne nad drugimi bujające gaszty, wieczorniki, malwy, nagietki, żółte gwoździki, wysokie kiciaste rezedy, krzaczyste boże drzewka, pomarańczowe nasturcje, różowe grochy pachnące.

Wszystko to związane z sobą było podwójną siecią płotów i ścieżek. Te ostatnie w niezliczonych skrętach biegły od domu do domu, przerzynały ogrody, przeskakiwały płoty, prześlizgiwały się pod ścianami, urywały się, znikwały i z gęstej zieleni wypływały znowu, przed myśl i wyobraźnię przywodząc jakieś tłumne, spójne, gromadne życie. Jak obrazek za obrazkiem, zagrody te ukazywały się jedna za drugą, z daleka i z bliska, samotne lub ściśle jedna ku drugiej przysunięte, podobne do siebie, a przecież różniarami swych domów, gatunkami drzew i przemagającymi barwami roślin ze sobą różne. Wspólne tło błękitu i zieleni, wśród którego rozsiane były, czyniło z nich jeden obraz rozległy i bijący w otaczające powietrze stugłośnym rozgwarem.

Justyna szeroko otwartymi oczami dokoła siebie patrzyła. Znajdowała się teraz w samym niejako wnętrzu okolicy, spajającymi ją drózkami i ścieżkami postępując. Kilkadziesiąt domów, które okrążyła albo przez których dziedzińce i ogrody przechodziła, zamieszkiwało kilkaset istot ludzkich, które wszystkie u końca tego dnia pogody i pracy wysypywały się na zewnątrz. Mnóstwo kraciastych spódnic i kolorowych kaftanów kobiecych migotało wszędzie... Na dziedzińcach, wśród ogromnego gdakania kur, kobiety cienkimi głosami do nocnych siedlisk zwoływały

domowe ptastwo. Inne siedziały na zagonach pieląc warzywo, inne jeszcze szły z wiadrami wody na ramionach albo w wielkich fartuchach niosły dzikie zielsko, albo przed domami myły domowe statki, albo po grzędach rwały do koszów liście sałaty, lebiody, buraków. Jednokonne i dwukonne pługi, na szeroko rozkraczonych włokach położone, wracały z pola, a idący za nimi mężczyźni, starzy i młodzi, w kapotach i surdutach, w wysokich butach i bosy, w czapkach małych i zgrabnych albo wielkich i kosmatych, pokrzykiwali na konie, z daleka zamieniając się urywkami rozmów; z łąk albo od łąków pastewnych roślin powracający pobłyskiwali kosami albo wznosili w powietrze zębiaste profile grabi. We wnętrzu domów huczały obracane żarna i stukały krosna. Na każdej drodze, za każdym płotem ożywał się tętent koni, które chłopcy wyprowadzali na nocną paszę. Jedne z nich biegly luzem, na innych jechały bosc niedorostki, w płóciennych ubraniach i z rozweselonymi twarzami pod zsuniętymi na tył głowy daszkami starych czapek. Na każdym dziedzińcu czekał lub bawiąc się z dziećmi wesoło skomlał jakiś Mucyk, Żuczek, Sargas, Wilczek, których imiona, głośno przez dzieci wykrzykiwane, rozlegały się daleko. Pod gęstymi warzywami śmigaly bure i czarne koty; butne koguty z płotów i gałęzi rzucały światu przeciągłe dobranoc; stada kaczek powracających z rzeki wylatywały zza góry i z krzykiem padały na trawy. W wiśniowych gajach dziewczęta podskakiwały ku okrytym jagodami gałęziom, a w pobliżu tych miejsc cienistych niejeden pług zatrzymywał się na chwilę i niejedna koza z brzękiem wikłała się wśród gałęzi, gdy jej właściciel pochylał głowę — nie wiadomo, czy ku zerwanej wiśni, czy ku uchu dziewczyny rumieniącemu się pod wetkniętą we włosy nagietką. Czasem pod ścianą domu kilka podstarzałych kobiet siedziało na długiej ławie gwarząc spokojnie, z beczynnosc na kolana opuszczonymi rękami. Czasem na koniu, prowadzonym do kuźni, przesunęła się postać młodzieńcza, tak wysmukła i zgrabna, jakby przez natchnionego snycerza wykuta, z doskonale pięknymi liniami ogorzałego i przez słońce pozłoczonego profilu. Czasem siwowłosy starzec powoli przeszedł pod szeregiem wysokich lip. Lecz w ogólnosci był to rój ludzki do roju pszczół podobny, ciężki i własnoręcznie pracujący, w grubej odzieży, z grubymi rękami, z ciemną ogorzałością na twarzach i z potem na czołach — nie ponury jednak, owszem, tu i ówdzie rzucający w powietrze wybuchy śmiechów kobiecych, młodzieńczych, dziecinnych. Pieśni zaczynane i przerywane pracą wzbijały się jedną lub kilku nutami i milknąc tu, odzywały się ówdzie, to bliżej, to dalej, to skoczne, to tęskne, aż pojedynczy męski głos jakiś przetrwał wszystkie inne i rozgłosnie na dziedzińce, ogrody i aż na pola rzucił strofę tej samej pieśni, którą niedawno wygwizdywał idący za pługiem Jan...

[...]



W Olszynie, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął swe nazwanie, na łagodnej wyniosłości gruntu dom niewielki, drewniany, nieotyńkowany, niby z kosza zieleni wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bzów i z gęstego rzędu fasoli, która, tuż przy ścianie posadzona, gęste i teraz kwitnące swe sploty zarzucała na tyki sięgające prawie niskiego dachu. Z tyłu domu znajdował się spory sad owocowy, prostym częstokołem ogrodzony, bez dróg i upiększeń żadnych; z przodu, za małym, trawą i gdzieniegdzie chwastami porośłym dziedzińcem, po łagodnej spadzistości spływały aż ku olchowemu gajowi duże i urodzajne ogrody warzywne. Gaj był świeży, czysty, z grubymi i cienkimi drzewami rzadko rozstawionymi na wilgotnej i gładkiej murawie. Za rzadko rozstawionymi i gładkimi pniami przeblyskiwał w płaskich brzegach płynący tu Niemen i ukazywało się gdzieniegdzie przeciwległe wybrzeże, pokryte, jak okiem sięgnąć, gładkim, wilgotnym pastwiskiem. Gdzieniegdzie, niby drobne obrazki w zielonych ramach, widać było zza drzew pasące się na tej zarzecznej płaszczyźnie trzody albo pastuszków skupionych dokoła roznieconego ognia, albo nędzne, nie wiedzieć czyje, samotnie wśród przestrzeni stojące chaty. Za domem i sadem leżały gładkie pola; z obu stron warzywnych ogrodów zieleniały niskie łąki, na których rosły grupy wierzb, a w mokrych zagłębieniach gruntu rozrastał się jasnozielony ajer i stały wysokie łoży z długimi, obwisłymi liśćmi i wierzchołkami podobnymi do aksamitnych kołpaków. Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia od razu wnieść było można, że wśród średniej własności ziemskiej Olszynka była posiadłością możliwie najmniejszą. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska pomiędzy łąkami do grupy wierzb przyparta. Składała ją chat kilkanaście, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z bliskości, w której znajdowała się od dworku, łatwo było zgadnąć, że kiedyś do Olszynki należała. Był to więc kiedyś mająteczek kilkunastochatowy, czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi spływała własność mała.

Ostry chłód zapanował po niedawno spadłym gradzie; silny wiatr kołysał wierzchołkami kilku rosnących na dziedzińcu topoli włoskich; deszczowe chmury szybko biegły jedna za drugą, to zasłaniając, to odkrywając błękit nieba. Jednak w Olszynie wszystkie okna domu, otoczone kwitnącą fasolą, były na oścież otwarte. Stały na nich pomiędzy kilku mirtami i rozmarynami kwitnące fuksje i róże miesięczne. Na ganku jedna z ławek zastawiona była hładyszami pełnymi zsiadłego mleka, na drugiej stał naprędce znać tu umieszczony kosz z sałatą i jarzynami. Długa sień, przedpokojem zarazem będąca, rozdzielała dom na dwie połowy, z których w jednej znajdowały się pokoje mieszkalne, w drugiej kuchnia i izba czeladna. W głębi sieni wielki zamek wiszący u drzwi niskich i wąskich oznajmiał spiżarnię. Za starą szafą widać było drabiniaste schodki na strych wiodące; pod ścianami stały proste, drewniane skrzynie i stołki, kosze z łożyny uplecione, a na miejscu najwidoczniejszym — niecki pełne świeżo upranej bielizny. Miano ją zapewne na strych wynosić, ale tymczasem tu jeszcze pozostawiono. Zapach mydlin z kuchennymi woniami złączony napełniał sień pomimo drzwi na ganek otwartych; w kuchni trzeszczał

ogień i rozlegały się głosy kobiece i dziecinne; w pokojach mieszkalnych cicho było zupełnie i tylko czasem dolatywało z nich monotonne mruczenie, z którego można było odgadnąć pracowicie uczące się dziecko.

[...]



Wieczór zresztą nastawał. Za okolicą i rzeką słońce połową ognistej tarczy iskrzyło się nad borem. Ostatnimi promieniami jego przeniknięty, kołami wozów i licznymi stopami ludzi podniesiony, złoty tuman pyłu owinął znowu długi szereg domostw i ogrodów, potężne grupy drzew rozłożystych, splątana sieć płotków i ścieżek. Białe pas drogi i wszystkie ścieżki, podwórka, wąskie przejścia pomiędzy ścianami świrnow i stodoł napełniły się powracającym do domów mrowiem ludzi i zwierząt. W powodzi zieleni i tumanie pozłoconego pyłu pojedynczo i gromadnie przesuwały się, krzyżowały się z sobą, tu ukazywały, tam znikwały barwiste kobiece ubrania, głowy w czapkach, chustkach i warkoczach, twarze zmarszczkami pokryte, mizerne, smutne lub rumieńcami kwitnące i pomimo przebytego dnia ciężkiej pracy w wesołych uśmiechach ukazujące perłowe rzędy zębów, ale wszystkie ciemną brunatnością ogorzeliżny obleczone i wszystkie lśniące od potu, zaledwie poczynającego wysychać na daleko bielszych niż policzki czołach. Powietrze huczało od gwaru ich głosów, od ryku krów, meczenia owiec, turkotu kół i szczekania psów. Słysząc było głuche postękiwania kobiet usiłujących prostować zbolale plecy pod odzieżą, na której ciemniały mokre plamy potu, i chichoty dziewcząt, którym niesione sierpy nie przeszkadzały w grubych i ciemnych rękach układać małych wiązanek lub wianków z zerwanych po drodze kwiatów. Słysząc było cienie głosy dzieci wybiegających na spotkanie matek, swawolne krzyki podrostków, gdakanie kur, gruchanie gołębi i pianie kogutów.

W zagrodzie Anzelma czerwone blaski słońca długimi szlakami kładły się na puszystym kobiercu po raz drugi podrastającej koniczyny i ukośnymi strzałami wślizgując się między gałęzie drzew, zarumieniały gęsto osypujące je owoce. Pszczoły ułożyły się już do snu w błękitnym tłumie przysadzistych ulów, za którymi w migotliwych światłach zachodu cicho stały rozłożyste wieczorniki i wysokie malwy. Ogród był pełen świegotu ptastwa i zapachu kwitnącej rezedy zmieszanego z ostrymi woniami mięty, piłowiei i bożego drzewka. Za gęstym listowiem stuletniej sapieżanki dwa okna w błękitnych ramach gorzały jak rozpalone rubiny. Przez otwartą na oścież bramę na szeroką, śladami kół zbrudzoną i od dziecielniny bielejącą drogę z rykiem i meceniem wchodziły małe trzódki krów i owiec.

[za: E. Orzeszkowa, *Nad Niemnem*, oprac. J. Bachórz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1996, t. 1: s. 1-8, 192-197, t. 2: s., 1-8, 123-125]